

## BLANKA GUL-OLSZEWSKA

ur. 1938; Warszawa



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, stan wojenny, wprowadzenie stanu wojennego, 13 grudnia 1981 roku, UMCS, strajk okupacyjny, wejście służb mundurowych, wejście SB, ZOMO

### Wejście funkcjonariuszy służb mundurowych i SB

ZOMO szło falą na uniwersytet, to było widać między drzewami na śniegu. To była taka czarna fala, która przetaczała się przez alejkę od strony zza Chatki Żaka. Ja zobaczyłam, że tak mało nas zostało, bo było ogromnie dużo ludzi [wcześniej]. Niektórych sama wypchnęłam, ponieważ mieli małe dzieci. Ja sobie szybko skalkulowałam, że mieszkam sama, że nie mam małych dzieci, że mój syn, młody student, jest w Krakowie, czyli żyje tam jakby na własną rękę i pewnie też jest w podobnej sytuacji, no i jest to taki czas, że nic mi nie zrobią, najwyżej mnie wyrzucą z pracy. W każdym razie nikt nie będzie do nas strzelał, to jest niemożliwe. Bo Wolna Europa, bo świat, bo się wie. Ale to dosyć straszne, bo nie wiadomo, gdzie tam wywieźli tych internowanych, nie wiadomo, czy nas też nie zamkną za to, że jesteśmy pyskaci.

Po takich szkoleniach wstępnym w Solidarności: co by było, gdyby, było wiadomo, że trzeba podejmować rozmowy, ale mówić nie na temat. W momencie aresztowania i przesłuchania w cztery oczy najlepiej nie mówić nic, bo nie wiadomo, czy nie mają sposobów, jak z nas wyciągnąć. Ja miałam jeszcze taką prywatną swoją teorię – jak się boisz, to żartuj, to szukaj sytuacji paradoksalnych, surrealistycznych, śmiesznych. To cię uchroni przed lękiem, to oswoi twój lęk. Ja miałam taką teorię od bardzo dawna, od dzieciństwa. Zrób teatr z czegoś złego, co się dzieje, jeżeli nie masz możliwości zmienić tej sytuacji, trzeba ją oswoić, ograć ją. To jest dziecinna teoria, której uczyłam mojego syna, której uczyłam uczniów w liceum plastycznym, kiedy się bali matematyki. Zmień perspektywę, zmień filozofię na czas strachu. I kiedy w tej grupce stosunkowo niewielkiej byliśmy tam przy tych stosach materaców, stosach jadła szykowanego na kolację, podgrzanych kiełbas, bo koledzy spoza Solidarności znosili – to było jak na chłopskie wesele przygotowane – [pojawiło się pytanie], co mówić tym milicjantom czy esbekom, którzy przyjdą, że czego my chcieliśmy? Trzeba

coś głupiego powiedzieć, no, nie powiemy, że ślub, że wesele, a herbata już była zaparzona, świeża herbata, ja miałam taki pomysł i powiedziałam: „Słuchajcie, ja mam takie imię, że nikt nie wie, kiedy są imieniny, a one są w listopadzie, na koniec listopada, to ja was zapraszam – i nikt nie był u mnie na imieninach – na imieniny. Jesteście moimi kolegami z Solidarności, was zapraszam na imieniny”. No, mówimy, że to są imieniny Blanki, a nie spojrzą w kalendarz, bo nie ma ich, teraz już są, na początku grudnia. Ta grupka coraz bardziej topniała i została już naprawdę niewielka, przy takich może dwóch, może trzech stołach. Reszta zeszła na dół do holu i rozproszyli się gdzieś po korytarzach innych, ale odeszli od tego koczowiska z tymi manelami, z tym jedzeniem na trzy tygodnie, z tym radiem włączonym, z aparaturą, z ulotkami, jeszcze ktoś tam pobiegł te ulotki na szybko drukowane poupychać gdzieś, jeszcze ja też przebiegłam po salach, jeszcze znalazłam też.

Ta herbata na stole i wchodzi po schodach z dołu wataha z karabinami przewieszonymi. A my pijemy herbatę tam na piętrze. Najpierw ten stuk butów, takich mocnych, no, ale to nie było ZOMO, to była milicja i jacyś cywile. Zatrzymują się, toczą wzrokiem po korytarzu, podchodzą do nas, legitymują nas, co tu robimy. No to ja mówię, że są moje imieniny i tak sobie wymyśliłam, tak solidarnie, wszyscy żeśmy się zgromadzili. Ale nie wolno się gromadzić. No ale to jest święto mojej patronki, to jakby takie kultowe dla mnie, bo jestem wierząca. No, przepytują wszystkich, po co tam przyszli, no, to nasza koleżanka, plastyczka ma imieniny dzisiaj, imieniny Blanki. A inni nic nie mówią. No i już nie pytali o te materace i pamiętam, że powiedzieli: „A radio to do tańca, tak?”. No tak. No, to nie będzie tańców, taka rozmowa, cywile z nami rozmawiali, a milicja stała po bokach.

No i kazali nam zejść na dół, cały hol i przyległe te korytarze pełne ludzi i milicji. Ja tak patrzę, kiwamy do siebie głowami, ta milicja rozstawiona po kątach. Cieszę się, że jest ten, ten, że został. Za oszklonymi drzwiami, w świetle, na tarasie stoi dziwna grupa. Światło się odbijało od celuloidowych tarcz i od hełmów. Ja widziałam wojsko chińskiego cesarza, które zostało wykopane, wykopaliska, oni wyglądali jak takie figury z tego wykopaliska albo jak – w muzeum kiedyś widziałam – takie średniowieczne szachy wielkości prawdziwych ludzi, nieruchomo stojące pionki szachowe. W tym świetle to wyglądało zupełnie surrealistycznie. I ustawiono trzy stoliki, jeden taki główny, dwa mniejsze, przy których zasiadał jeden cywil, ważniejszy, a za nim stało dwóch jakby takich mniej ważnych i z boku milicja z karabinami. Tak jakby się przerzedził ten tłum w korytarzu i reszta towarzystwa grupkami, tak otoczona przez milicję, stała w różnych miejscach. Trochę zaczęliśmy z sobą rozmawiać, rozmowy były takie, które nam przerywano, nie pozwalano nam rozmawiać i szykowano te stoliki, do których żeśmy potem gęsiego się z dowodami ustawiali. I to jest taki moment, ja mówię, jak dobrze, że jest ten, ten, ten. I wtedy słyszę, ktoś mówi: „Jego nie ma”, a potem słyszę: „Słuchajcie, pół psychologii i pedagogiki to są wtyki”. Pierwszy raz usłyszałam o wtykach w Solidarności wtedy. I tak było. Połowa tego tłumy to byli pracownicy Służby Bezpieczeństwa, także osoby,

o których myślałam sobie – dobrze, dzielny, bo został. Nas ustawiono w kolejeczki do tych trzech stolików i żeśmy kolejno podchodzili z dowodami, i tutaj każdy już miał inną rozmowę. Oni mieli taki zwyczaj, że mówili nam po imieniu, to znaczy z dodatkiem „pan”, co stwarzało wrażenie, że jesteśmy w jakichś, no, towarzyskich przynajmniej związkach. Przynajmniej mnie się tak wydawało, bo nie wiedziałam, że do wszystkich mówią tak lub do prawie wszystkich. Ja kiedyś już miałam styczność dwukrotnie ze Służbą Bezpieczeństwa, nie wiedząc w ogóle, że to są oni, to znaczy, za drugim razem już wiedziałam. Raz w [19]68 roku w związku z ulotkami opatrzonymi obrazkami i to był trop do liceum plastycznego, ale nie wiedziałam, z kim rozmawiam w gabinecie dyrektora. I pytano mnie, czym można przyklejać do muru. Ja powiedziałam, że najlepiej takim i takim klejem, ale pytano mnie, czy farbą drukarską. Było to zawołane pytanie o ulotki, o farbę drukarską na powielacz. Drugi raz przy wyjeździe do Anglii, [przy staraniach] o paszport, gdzie mnie werbowano, ale po prostu od razu powiedziałam, że nie mam charakteru kapusia, a dostałam paszport potem i raz mnie tylko tam naciskano. Mnie skierowano do tego głównego stolika, dwóch facetów, rozpoznałam tego głównego, znajoma twarz, który wziął mój dowód do ręki i powiedział: „Ach, pani Blanka Olszewska, co pani tu robi?”. Ja na niego spojrzałam, skąd on wie, zapominając, że ma mój dowód w ręku i czyta po prostu. Ale był to facet, który ze mną rozmawiał, nawet w domu mnie odwiedzał, przed wyjazdem do Anglii w związku z paszportem. To była jedyna rozmowa wtedy, z odmową. I zdjęło mnie przerażenie, bo sobie uświadomiłam, że ja właściwie go znam, bo z nim rozmawiałam, on mi mówi pani Blanko, i wszyscy myślą, że my się znamy. A jeszcze on się pyta, co ja tu robię, taka porządna osoba. I dosłownie w paru sekundach to myślenie. No i powiedziałam, są moje imieniny, zaprosiłam kolegów. „No, pani Blanko, ja jestem oczywiście mniej inteligentny od pani, ale czy by aż tak?”. Za mną stoi ta kolejka moich znajomych, którzy słyszą tę rozmowę. Już wiedzą, że my się znamy, przecież nie będę tłumaczyć, z jakich [okoliczności]. No nic, cierpnę. A się okazuje, że ja przez te lata, jak pracowałam na uniwersytecie, nie zrobiłam sobie w dowodzie wypisu – stempelka – z liceum plastycznego i wpisu na UMCS. I on się do tego [odniósł], mówi: „Jeszcze raz pytam panią, co pani robi? Bo to do pani nie pasuje, pani przecież jest – ja znowu drętwieję, do mnie nie pasuje – nauczycielem liceum plastycznego”. Ja mówię: „Ale już nie”. „No nie ma pieczątki, jest pieczątko, że liceum, proszę. Gdyby była pieczątko uniwersytetu, to [co innego]”. No i wtedy co mam w torebce, no, niestety okazało się – nie wiem, czy stety, czy niestety, on mnie chciał chyba wyciągnąć czy co z tej grupy, że przypadkiem się [tu] znalazłam, ja sama mówię: imieniny, tam już wcześniej mówili, że imieniny, bo ja nie byłam pierwsza w kolejce – że miałam legitymację służbową, UMCS-u, więc to już odpadło. No i mnie wzięli na bok, gdzie już stoją dwie osoby, do koleżanki, którą znałam z tego pierwszego zebrania Solidarności, kiedy jeszcze nie było nazwy Solidarności, ona stoi też obok mnie, pani Sabina Magierska, stoi jeszcze też kolega, który potem dosyć nawet był sławną postacią, ale nie będę wymieniała jego nazwiska, no i dalej

tamta kolejka, jeszcze jednego doprowadzają kolegę do nas, no i te kolejki się już zmniejszają, zmniejszają, i wypuszczają ludzi na zewnątrz, a my stoimy. I zebrano się chyba 4, 5 osób tak pod ścianą, stoimy, oczywiście tam milicjant się przysunął jeden z drugim, no i tak, nie wolno nam rozmawiać, wolno nam palić papierosy. I czekamy. To był mój 13 grudnia. Ten wieczór się już kończył, z tej grupki 5-osobowej dwie osoby zostały wyciągnięte najpierw i ja, oddzielnie. Wypuszczono pozostałe dwie, myśmy znowu jeszcze czekali, może pół godziny, może 40 minut. Czas się dłużył, bo nie mogliśmy rozmawiać. Papierosy się kończyły. I wtedy podjechały dwa samochody, to były białe polonezy. Biały polonez i czarna wołga to były takie symbole, jak się potem okazało, stanu wojennego. Mnie odprowadzono na bok. Były jakieś rozmowy między tymi funkcjonariuszami Służby Bezpieczeństwa, no bo myśmy się już orientowali, kto to jest. I mnie wyprowadzono na ten taras, wypuszczono mnie przez te podwójne drzwi i ja tam chwilę się zatrzymałam, bo widzę, że też wyprowadzają oddzielnie, i to mnie tak zastanowiło, te dwie pozostałe osoby. Między innymi właśnie Sabinę Magierską. I kiedy ja tak stałam z boku, ona wychodziła z jakimiś dwoma cywilami, kierowca jednego z polonezów, cywil też, młody człowiek otworzył drzwi nie dosłyszałam, o czym mówiła z jednym z tych panów, który wyszedł z nią, a ja jej zapytałam, nie wiadomo dlaczego właściwie: „Pani Sabino, w jakim kierunku pani jedzie, może ja się z panią zabiorę?”. I w tym momencie, kiedy to powiedziałam, zrozumiałam, że to być może nieoznakowany samochód, biały polonez, nie czarna wołga. I w tym momencie widzę, że do drugiego samochodu wprowadzają tego kolegę. I jeden z tych facetów, który odchodził, roześmiał się i powiedział: „Nie ma już więcej miejsca”. I wziął mnie pod ramię, zaprowadził do milicjantów i oni mnie wyprowadzili na ulicę z tej uliczki małej uniwersyteckiej. Też jeszcze co krok milicjanci i zza drzewa wyciągnęli jednego z kolegów, który podglądał, co będzie dalej. Został do ostatniej chwili z tej kolejki i wyszedł tuż przede mną. Zza drzewa go wyciągnęli na tę ulicę, no więc ja podeszłam i rozmawialiśmy ze sobą, no i nas rozgonili. Podeszło do nas kilku milicjantów i powiedzieli: „Proszę się rozejść, nie wolno [robić] zgromadzeń”. No i myśmy jeszcze zdążyli sobie powiedzieć, że chyba nie trzeba wracać do domu. I tak żeśmy ustalili, milicjanci nas puścili, on poszedł w kierunku domów dla pracowników na miasteczku, bo tam mieszkał, był asystentem z romanistyki, miał na imię Kazimierz. A ja zeszłam na dół, w kierunku mojego osiedla, ale na wszelki wypadek nie poszłam prostą drogą, poszłam bokiem na moje osiedle, coś mnie tknęło i poszłam do domu moich znajomych, też pracowników uniwersytetu, żeby opowiedzieć, jak było. Poszłam do domu jednego z kolegów, którego wypchnęłam dosłownie w ostatniej chwili, bo on rozpaczał, że co ma robić, bo mieli małe dziecko i dwoje jeszcze innych. Ja go dosłownie zmusiłam, bo on płakał, tak chciał zostać i nie wiedział, co robić. I ja tam do nich poszłam, i tam u nich nocowałam. Gdzieś koło godziny dwunastej następnego dnia wyszłam, żeby wrócić do domu. Pod domem jeździła wózką z małym dzieckiem na mrozie sąsiadka z bloku, z tego samego piętra, której mąż

kazał wzdłuż tego bloku jeździć, bo wiedzieli, że ja gdzieś tam mam przyjaciół, a dwa razy przychodzili jacyś ludzie młodzi, w skórzanych kurtkach i dobijali się do moich drzwi. Kiedy za drugim razem – bo najpierw się bali wyjść – wyszedł, oni powiedzieli, że są moimi studentami. Ale patrzyli z okna potem, zgasili światło i patrzyli, i mówią: „Ale nam się wydawało to nie bardzo możliwe, bo wsiadali do samochodu”, a studenci nie mieli samochodów. No i ja wróciłam do domu i wiedziałam, że muszę pochować to, co mam domu, bo w każdej chwili może być rewizja.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2008-10-10, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Tomasz Czajkowski
<b>Redakcja</b>	Justyna Molik
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"